

Piotr Skuza

"Postmodernizm i końce wieku",
Bogdan Baran, Kraków, 2003 :
[recenzja]

Chowanna 1, 147-152

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„Chowanna”	Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego	Katowice 2005	R. XLVIII (LXI)	T. 1 (24) Cz. II	s. 147–152
------------	--	---------------	--------------------	------------------------	------------

***Bogdan Baran:
Postmodernizm i końce wieku,
Kraków, Inter Esse, 2003, ss. 304***

Książka Bogdana Barana to ambitna publikacja prezentująca rozległą panoramę postmodernizmu ze wskazaniem na dwa pogranicza wieków: XIX i XX oraz końca wieku XX. Zaletą książki jest wielość poruszanych kwestii. Autor nie tylko śledzi początki postmodernizmu, ale opisuje jego wielorakie przejawy w takich dziedzinach, jak: filozofia, sztuka, literatura, architektura, życie codzienne, polityka. Przedmiotem zainteresowania Autora są także różne odmiany tej formacji. A zatem mówi o postmodernizmie ludycznym, kontestującym, pasożytniczym itp.

Fragment rozpoczynający treść publikacji jest nie tylko doskonałą diagnozą świadomości społeczeństw Europy Wschodniej¹, ale także rozpoznaniem stanu ducha każdego poszczególnego człowieka żyjącego w tej przestrzeni politycznej. Bogdan Baran rozpoczyna swą książkę takimi oto słowami: „Najbardziej postny z naszych postów, postkomunizm, zastał nas nieprzygotowanych na sprawę ponowoczesności. Gdy świat nie chce już być moderny, w uwolnionych od nierealnego socjalizmu krajach brak nowoczesności jest właśnie podstawowym brakiem. Trudno o zrozumienie znużonego nowoczesnością pomodernego ducha, nie przebywszy uprzednio należytej jej lekcji. Odcięcie zewnętrznych i wewnętrznych źródeł współczesności mogło prowadzić tylko do pozoru” (s. 9). Czytając te słowa, poczułem, że określono mój

¹ Używam określenia Europa Wschodnia jako kategorii politycznej, a nie geograficznej.

– i chyba wielu innych – ambiwalentny stosunek do postmodernizmu. Przyczyna, dla której sięgnąłem po tę lekturę, jest dokładnie tutaj wyrażona. Jest nią niepokojący pozór tkwienia w nowoczesności. Książka ta spełnia funkcję przewodnika po postmodernistycznej krainie oraz zwyczajnie pozwala nadrobić braki w wykształceniu tym, których uwiódł syreni śpiew przemijającej nowoczesności XX wieku. Dlatego traktuję ów inicjalny fragment jako terapeutyczny i wyzwalający. Oto ktoś nazwał moje emocje i mój stan ducha. Widzę także potrzebę prowadzenia dalszej terapii i osvajania. To wyjście ku ukrytym odczuciom polskiego Czytelnika, zawarte we wstępnym paragrafie, uważam za doskonale i dobrze byłoby, gdyby zdania te przyjęły się jako sentencja oddająca stan ducha współczesnych.

Po postawieniu diagnozy o pozorze trwania projektu modernistycznego, Bogdan Baran zaleca postawę, która umożliwi łagodną recepcję tego dziwołga wyrosłego na garbie „naszych czasów”, pisząc: „Wobec nowoczesności można przyjąć pewną postawę – postawienia modernego świata do dyspozycji. Postmoderny duch radzący sobie z dwudziestowieczną modernizacją bez wątplenia określa jakoś ostatnie lata. Wyłania się z różnych źródeł i wymaga, by dojść z nimi do pojęciowego ładu. Nie tyle do definicji, ile do rozplątania i uładzenia wątków” (s. 9). Czytając to, odetchnąłem z ulgą. To nie tylko ja zagubiłem się w labiryncie niby nowoczesności, nie tylko ja szamoczę się w sieci nowych idei. Odczytuję w tym fragmencie ukryty osobisty wątek, iż Autor nie tylko występuje w roli współczesnego Fausta, lecz sam przeszedł własną terapię. Poza tym pobrzmiwa w tych słowach zachęta do dekonstrukcji osobistej wizji czasów współczesnych. Dekonstrukcja ta, dla mnie pedagoga i nauczyciela, nie jest li tylko czczym eksperymentowaniem na sobie, jest potrzebą innego spojrzenia na świat i człowieka oraz zadania edukacyjne.

Bogdan Baran konsekwentnie i z entuzjazmem prezentuje kłęba postmodernistycznej myśli, obracając się w ograniczonej przestrzeni, a mianowicie Niemcy, Francja i USA. Polski Czytelnik przyzwyczajony, że wszelki uniwersalny namysł rodzi się na Zachodzie, może być na ten fakt obojętny. Czasami jednak sam Autor przelamuje to ukryte alienujące nas, ludzi Europy Wschodniej, przekonanie, że jesteśmy jedynie odbiorcami uniwersalnego namysłu, nasze zaś lokalne idee nie mają większego znaczenia. Czyni zatem małe uwagi o polskim językoznawstwie, czyli o szkole kazańskiej (s. 114) oraz o Zygmuncie Baumanie.

Poza tym od pierwszych słów Autor wprowadza nas w nieco dziwaczną, czasami szokującą przestrzeń ukrytego dla wielu umysłów, jak się okazuje, paradygmatu kulturowego. Niecodzienna stylistyka tego znakomitego, lecz trudnego – eseju – monografii nadaje specyficzny charakter wędrówki po zawitych kłębach postmodernistycznej rośliny wyrosłej na żywej tkance naszej epoki zwanej czasami współczesnymi. Owa współczesność niespodziewanie rozpełka się na dwie części i okazuje się, że nie można mówić o postmoderniz-

mie bez modernizmu. To zgodnie z prezentowaną ideą dekonstrukcji według Paula de Mana, który definiuje ją jako mająca na celu „ujawnienie skrytych artykulacji i podziałów wewnątrz monadycznych rzekomo całości” (s. 148). Ową całością jest właśnie współczesność. To tylko pozór, że jest ona jednolita. Dlatego pierwsza część książki poświęcona jest modernizmowi, druga zaś – postmodernizmowi.

Aby ułatwić owo wspomniane i rekomendowane rozplatanie (wyrażenie nie bez kozery użyte, bo mowa jest tu także o supłach), wskazano rok 1967, trochę chyba arbitralnie, jako cezurę, jako początek przełomu formacyjnego, szczególnie w literaturze. Autor nawet nazywa ten wątek główną tezą tej publikacji. Przyjąłem ów pogląd Autora trochę z osobistych przyczyn, gdyż jest to rok moich urodzin, zdziwiwszy się, że całe moje życie przebiega pod parasolem postmodernizmu. Dla innych Czytelników może wydać się to mało istotna data.

Zdziwienie nie opuszcza Czytelnika nie tylko ze względu na treść, ale także i formę tej publikacji. Od początku Autor konsekwentnie pozostaje w postmodernistycznej stylistyce pełnej neologizmów i gry słów, jakby chciał ten tekst uczynić po części pastiszem, po części okraścić ironią. Te zabiegi pisarskie – jak tłumaczy – istotne są dla literackiego postmodernizmu. Ale przecież również niektóre dzieła filozofów, takie jak J. Derridy *Marginesy filozofii*, mają podobny charakter. O tym nie wspomniano.

Cały układ książki jest zaskakujący. Nie ma w niej rozdziałów tradycyjnie pojętych, co utrudnia studiowanie tej niełatwej, ale ambitnej lektury. *Przepis* to wstęp poprzedzony *Rozpisem* (spis treści), na końcu zaś mamy *Przypis*, gdzie umieszczono przypisy w dość niekonwencjonalnym stylu. Jest nawet przypis do *Przypisu*. I tak gwiazdka w tekście, a nie numer, oznacza przypis – co odkryłem dopiero po dłuższej lekturze tekstu – i zaprowadzać ma Czytelnika do działu na końcu książki, gdzie wyróżniono dwie części: „A. Dopisy do modernizmu” i „B. Dopisy do postmodernizmu”. Wedle intencji Autora mają one być „wyzwolonym marginesem i drugim zakończeniem” (s. 11). Jest to niewątpliwa aluzja do J. Derridy, gdyż duch tego filozofa unosi się nad postmodernizmem.

Poza tym kompozycja treści też jest miejscami zagadkowa, nowatorska i nie pozwalająca przechodzić nad tą książką tak, jak się przechodzi nad wieloma innymi publikacjami zredagowanymi w tradycyjny sposób. Otóż, ostatnie zdanie wstępu (zwanego tutaj *Przepisem*) jest tajemnicze, i nie do końca zrozumiałe, lecz dodaje niezwykłego smaku, eseistycznej intrygi, coś na kształt tekstu w tekście z *Imienia róży* Umberta Eco, przywoływanego zresztą jako luminarza literatury postmodernistycznej. Bogdan Baran poinformował Czytelnika w banalny sposób, że bibliografia obejmuje wyłącznie teksty cytowane, nagle ogłasza, iż „całość stanowi nadpis nad opisem z poprzedniego tysiąclecia” (s. 11). Zdanie wydaje się prorocze. Skoro mowa o postmodernizmie i pomodernej stylistyce, chyba nie trzeba go traktować do końca poważnie.

Kolejną cechą formy i stylistyki książki jest to, że robi wrażenie jednolitego, gęsto utkanego i zdecentrowanego tekstu. Żadnej bowiem idei, nawet rokowi 1967, ogłoszonemu w *Przepisie* jako główna teza, nie poświęca *de facto* więcej uwagi niż innym wątkom. Główna teza jest tak naprawdę jedną z wielu, aczkolwiek wyraźnie dokonuje podziału na dwie części poświęcone modernizmowi i postmodernizmowi. Daje o sobie znać zamysł Autora, że postmodernizm wywołał swoje binarne dopełnienie, tj. modernizm, który też się stał problemem i trzeba także wyłożyć jego istotę, a raczej „uładzić wątki”. Co zresztą czyni w sposób bardzo erudycyjny, nie troszcząc się, czy Czytelnik nadaża za natłokiem informacji o ruchach w literaturze i sztuce przełomu XIX i XX wieku. Na dodatek jakby niefrasobliwie bawi się słowami tak, że trudno odróżnić neologizmy Autora od rzadkich pojęć stworzonych przez przywoływanych autorów. Pisząc zaś o modernizmie w pierwszej części i o postmodernizmie – w drugiej, Autor dokonuje kolejnego binarnego rozcięcia. Oddzielnie omawia obszar literatury a oddzielnie – filozofii. Sugeruje, że przemiany w literaturze wyprzedzają dynamikę namysłu, bo tak nazywa myśl filozoficzną. Czyżby Autor zastosował w swej kompozycji to, co pisze o strukturach narracyjnych, że mają one „jak w semiotologii de Saussure’a – charakter binarny [...], a nawet podwójnie binarny, jako że każdy z elementów stanowi przeciwzłon nowej opozycji” (s. 117)?

Gęstość tekstu czasami jest dokuczliwa. Zdarzało mi się, że czytając tekst, sam rysowałem kreskę oddzielającą jeden wątek, zwykle zapowiadany w nagłówku tych niby podrozdziałów, od drugiego, aby go uczynić czytelnym i móc do niego powrócić. Na przykład napotkawszy tematykę nowego historyzmu na stronie 152, po lekturze kilku następnych stron i co za tym idzie – innych wątków – traciłem z oczu interesujący mnie temat. Chcąc wrócić w to miejsce, wiele się musiałem naszukać. Tradycyjne oznaczenie podrozdziałów tytułami, np. *Nowy Historyzm*, ułatwiłoby studiowanie treści książki. Niewątpliwie, jest to przejaw zamierzonej gęstości kompozycji. Jednak to nie przy wielości neologizmów, które sprawiają, że treść tekstu jest swoistym koktajlem. Pełno tutaj takich wyrazów jak: „pis”, „czyt”, ale są i inne, jak: „modernologia”, „modoczesność”, „wiednia”, „moderny rozum”, „semiolog-semioklasta”, „prezentologia”, „surfikacja”, „cyberpunk”, „subwersja”, „oboklogię” lub nawet „pis-penis”. Zagęszczają one sens książki do tego stopnia, iż nie byłem w stanie pojąć na przykład takiego zdania: „Bezprzewodnictwo pisu potwierdzone »tańcem« wydobywa strukturalność struktury i właśnie przez to doprowadza do rozchwiania jej utrwalonego rozumienia” (s. 142).

Osobliwa zdecentrowana kompozycja, częściowo binarna, częściowo na kształt kłącza, domaga się od Czytelnika kreślenia własnej mapy umożliwiającej zrozumienie tej formacji. A zatem domaga się wysiłku rozsypywania, uładzania wątków i dekonstruowania. Sam Autor sugeruje ścieżkę, ujawniając główny trop owej mapy: „Bahr – Barthes – Barth – Barthelme” (s. 11).

Sugestia ta trochę kpiąca, bo czy w tej zbitce nazwisk istotniejsza jest forma, czy rzeczywista ważność postaci tu przywołanych? Oznaczenie owego tropu nazwiskami pisarzy i teoretyków literatury bądź filozofów zorientowanych na język świadczy o dużej roli, jaką Autor przypisuje literaturze. Z treści i kompozycji książki przebiega teza, że przemiany w literaturze wyprzedzają przewartościowania i zmiany w innych dziedzinach. Lingwistyczny zwrot oraz nakierowanie na tekst jako jedyną rzeczywistość godną uwagi może usprawiedliwiać tropy, jakimi idzie Autor. Odnaleźć można inne szlaki bezdroży postmodernistycznego obszaru. Można tego dokonać przez wskazanie na nazwiska ważniejszych podmiotów-twórców pomodernego namysłu. Na liście znaleźć się mogą: M. Foucault, J. Derrida, J. Lyotard (*Kondycja ponowoczesna*), J. Habermas, F. Fukuyama i inni.

Ponadto gęsta zawartość owej publikacji pozwala w czasie lektury samemu Czytelnikowi iść własnym tropem. W takiej wędrówce interpretacyjnej podąża on ku innym publikacjom lub odczuwa pragnienie sięgania do innych nieznanых mu jeszcze publikacji. Podczas czytania tej lektury tworzyłem własną mapę, nanosząc na niej nazwy idei lub osobowości czy tytułów dzieł. I tak nadmiar rozumu i jego przemoc, nieegologiczna podmiotowość, symulacja, różnica, dekonstrukcja, umysł transwersalny i wreszcie metafizyka kodu i bipol uważam za kategorie wyznaczające mapę, po której powinien poruszać się pedagog, jeśli chce adekwatnie kreślić projekty pedagogiczne. Szczególnie metafizyka kodu i bipol przykuły moją uwagę. Autor tłumaczy je, pisząc: „Technika nie imituje już znaków, lecz je produkuje. [...] Decydująca dla dzisiejszego systemu jest symulacja jako modulacja [tamże s. 87 – czyli J. Baudrillard – P.S.], wywodzenie zróżnicowanej serii z modelu. Ten model ma postać kodu zmierzającego nie do monopolu, lecz do bipolu jako swojej najbardziej operatywnej postaci. Wyrażała ją nawet architektura Manhattanu, zwierciadła rozwoju kapitalizmu: nad monowieżowcami poprzednich etapów górowała para bliźniaczych wieżowców World Trade Centre, symboli bipolizacji” (s. 206). Przeczytawszy ten fragment, niemalże zakrzyknąłem, czyżby tragiczne zniszczenie wież Manhattanu 11 września 2001 r. wyznaczało koniec czasów postmodernizmu i było cezurą nowej formacji? Przecież zaczęto mówić, że świat jest inny po 11 września. Nie pisze o tym Autor. Jednak charakterystyczną cechą postmodernizmu – co zostało uwzględnione w publikacji – jest ogłaszanie końca historii, człowieka, kultury, podmiotu, tekstu, autora itd. A kiedy nastąpi koniec końca, czyli wyczerpanie postmodernizmu? Owszem, mowa tutaj o wyczerpaniu, ale w kontekście współczesnej literatury amerykańskiej.

W pierwszym odruchu entuzjazmu wywołanego symbolem wież WTC, pomyślałem: patrzmy zatem, co zostanie wybudowane na miejscu owych drapaczy chmur. Być może na ich gruzach wyrośnie następne ucieleśnienie nowej współczesności. Choć może gdzie indziej owa figura nowych czasów jest

tworzona? Tego jeszcze nie wiemy. Gdy do tego dojdzie, zapewne trzeba będzie na nowo określić czasy poprzedzające. Zrobiono to wobec tzw. modernizmu, aby wytłumaczyć, czym jest postmodernizm. Postmodernizm nie istnieje bez tego pierwszego, pasożytując lub nawet wyprzedzając go w porządku logicznym, o czym przypomniano przy okazji omawiania Loytarda (s. 199). Tak, więc odlegli nam Freud, Duchamp, Bohr czy Gertruda Stein okazali się już postmoderni.

Książka B. Barana tłumacząca istotę postmodernizmu okazać się może publikacją spóźnionej recepcji, jeśli prawdą jest, że postmodernizm w niepokojącym ciągu swoich końców doszedł do końca samego siebie. Dziwić to nas może, gdyż polski Czytelnik żyje w przestrzeni dość osobliwej, ulegając kolejnemu pozorowi, czyli tkwienia w czasach ponowoczesnych.

Mając na względzie tezę podaną tutaj, że kapitalizm był figurą metafizyczną modernizmu, stawia nas – ludzi Europy Wschodniej – w kłopotliwym położeniu. Jediną modernizację, jaką jej dano nam doświadczyć, była niby-modernizacja komunistyczna. A zatem, który świat nie chce być już moderny. Tym zawiłym kwestiom Autor poświęca mało czasu. Tak jak w ogóle nie omawia „stereotypów porno” jako „bezbożnego nihilizmu czy cynicznej bezideowości po »końcu historii«”, wymieniając je pobieżnie. To jakby wbrew wstępnej, przecież trafnej diagnozie. Czyj jest zatem postmodernizm, który być może już się skończył 11 września 2001 roku? Chyba tylko starej Europy i USA. Nowa Europa ma szybko nadrobić lekcje, ale co z buntowniczym Trzecim Światem? Być może postmodernizm dotyczy małej części świata i nie tłumaczy do końca istoty czasów współczesnych.

Potwierdza to zdanie, że „Postmoderny styl życia należy do własności dojrzałej, wyrafinowanej kultury dobrobytu” (s. 245). Brawo! A zatem każdy polski Czytelnik może usprawiedliwić i zrozumieć swoje przeoczenie w diagnozie współczesności jako tylko późnej nowoczesności, względnie owego pozoru nowoczesności, z którego się trzeba wydobyć. A jakie to ma konsekwencje dla pedagogiki? Jeśli badanie ducha czasów ma znacznie dla projektów edukacyjnych, to w świetle przywołanej tezy umniejsza to rangę formacji postmodernistycznej w uwzględnianiu jej w owych projektach. A zatem postny postkomunizm tylko na poły jest postmodernistyczny. Tymczasem Autor podąża – jak się wydaje – za stereotypową myślą, że historię i idee tworzy Stary Zachód. Całą Odyseję postmodernizmu tutaj wyłożoną zamyka jedynie w obrębie Francji, Niemiec i USA. Choć może słusznie, gdyż Europa Wschodnia przy całym zgiełku przemian nie wydała istotnej myśli. Czy rzeczywiście?

Piotr Skuza